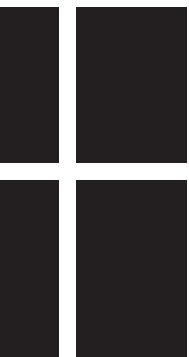


PUNKT WSPÓLNY

Barbara Pawliczek



MOC MEDIA



PUNKT WSPÓLNY

[Kup książkę](#)

„Dlaczego łatwiej jest zburzyć dom, niż go zbudować?
Dlaczego łatwiej jest zniszczyć miłość niż ją utrzymać przy życiu?”

Jarosław Borszewicz, *Mroki*

PUNKT WSPÓLNY

Barbara Pawliczek



MOC MEDIA

[Kup książkę](#)

© Copyright by Moc Media, Warszawa 2022

Wydawca: *Sylvia Chrabatowska*
Redakcja: *Irena Grobel, Anna Pietroń*
Korekta: *Monika Ślusarska*
Projekt okładki i stron tytułowych: *Sabina Bicz*
Projekt typograficzny i łamanie: *Rafał Pierzchała*
Druk i oprawa: *OSDW Azymut Sp. z o. o.*

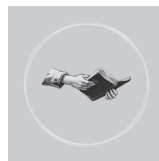
978-83-67133-18-0 (EPUB)
978-83-67133-19-7 (MOBI)
978-83-67133-20-3 (PDF)



MOC MEDIA

www.mocmedia.eu
Wydawnictwo Moc Media
wspolpraca@mocmedia.eu

PATRONI MEDIALNI



Kup książkę

Spis treści

Punkt, w którym zdradziło ją ciało	7
Punkt, w którym zburzyli mury domu	45
Punkt, w którym nastąpił świata koniec.....	79
Punkt, w którym utonęła	115
Punkt, w którym nie mógł jej kochać.....	155
Punkt, w którym miłość nie wystarczyła	195
Punkt, w którym na jej ciele narysował kwiaty	229

PUNKT, W KTÓRYM ZDRADZIŁO JĄ CIAŁO

Jednym z najtrudniejszych zadań, jakie podejmuję codziennie tuż po przetarciu zaspanych oczu, jest zmierzenie się ze świadomością, że w każdej chwili mogę umrzeć.

*

Choruję na czekanie. Od czekania czuję się coraz gorzej i coraz słabiej. Mielę w głowie te kilka myśli, czy badanie sprzed tygodnia wyda na mnie kolejny wyrok, czy czekam tak długo, coraz dłużej, bo znów zespół specjalistów musiał zebrać się nad krótkim zapisem jasnych i ciemnych plam w celu odszyfrowania przyczyny mojego gorszego stanu. Nienaturalnie długi sen przerywają mi krzyki wydobywające się z moich ust, chociaż nie pamiętam, czy to ja krzyczałam, czy świat wokół mnie. Jak co noc, przez ostatnie miesiące budzę się około drugiej dwadzieścia, siadam na łóżku otulona kołdrą i próbuję odzyskać czucie w dłoniach. Błysk bólu wędruje po moim kręgosłupie, czuję, jak osiada na ramionach. Kręcę dłońmi prawie niezauważalne kółka, chcąc przegonić wrażenie, jakbym spała na igłach. Minie kilka minut, zanim sięgnę po szklankę wody i nie upuszczę jej na podłogę.

Gdzieś pomiędzy pierwszym a drugim tykiem wyrzucam światu, który niegdyś chciałam zawojować, że zesłał na mnie tyle cierpienia. A potem samą siebie karzę, bo gdzieś – czy to dalej, czy bliżej – znajduje się osoba, która właśnie oddycha po raz ostatni. A ja przynajmniej mogę się chwycić nadziei, że nikt wprost nie powiedział, że umieram.

*

Znam ból od podszewki, znam go, odkąd niewinnie dokuczał moim pobijanym po pierwszych próbach jazdy rowerem kolanom, a mimo to codziennie potrafi zaskoczyć mnie czymś nowym.

*

– Wstałeś już? – wołam i wsłuchuję się w echo niosące się po pustym korytarzu. Niedawno zmieniliśmy mieszkanie, na mniejsze, wygodniejsze i bardziej przestronne. Mieszkanie, na które przestało nas być stać i comiesięczny czynsz za każdym razem przyprawia nas o ciarki na całym ciele. To nasz rytuał, siadamy obydwójce przy kuchennym stole, ja ze szklanką zimnej wody, on trzyma w ręce list i mały nożyk. Otwiera kopertę zdecydowanym ruchem, krzywiąc się, gdy nie idzie tak gładko, jak zakładał. Wyjmuje kartkę i czyta, wodzi wzrokiem po linijkach, zatrzymuje się dopiero, gdy zauważy kwotę. Widzę, jak marszczy czoło, dostrzegam, jak jego ciało się napina.

– Nic nowego. Myślałem, że w tym miesiącu obniżą, w końcu nie zużyliśmy aż tak dużo prądu, prawie nas nie było w domu. – Nerwowym ruchem dłoni przeczesuje włosy, a ja staram się złapać jego spojrzenie. Chciałabym wiedzieć, że nie obwinia mnie o to, że musieliśmy porzucić dawne życie na walizkach, wieczne podróżowanie i wydawanie pieniędzy raz na ekskluzywne hotele z najdroższymi drinkami, a następnym razem na spanie pod gołym niebem. Ale nie spogląda na mnie. – No nic, damy radę. W najgorszym wypadku poproszę ojca, by nam pomógł. – Prostuje się. Wstaje od stołu i wtedy jakby wszystkie troski znikają. Ale doskonale wiem, że buzują w nim emocje i gdy odwraca się do mnie tyłem, przełykam łzy. Naprawdę chciałabym go nie rozczarowywać, chciałabym wiedzieć, że nie stałam się ciężarem, ale nie wiem, jak zacząć taką rozmowę i nie wiem też, czy zniósłabym, gdyby jednak potwierdził moje przypuszczenia.

*

Gdy wracam do tamtego dnia, a dzieje się to nadzwyczaj często, zastanawiam się, dlaczego wcześniej nie dostrzegłam żadnych znaków. Przecież coś musiało się dziać, musiało wydarzyć się coś, co mogłoby mnie

zaniepokoić. Dlaczego tego nie widziałam? Dlaczego nie zareagowałam? A może gdybym skupiła się choć raz na sobie, zauważyłabym pierwsze symptomy choroby? Dlaczego nie poszłam do lekarza, nie zrobiłam badań kontrolnych?

Nic nie zapowiadało, że tamtego dnia miał nastąpić koniec świata. Wstałam jak w każdy poniedziałek przed siódmą rano, może nawet włożyłam buty do biegania, już nie pamiętam. Zaparzyłam kawę, wsypałam płatki do wrzącego mleka, pokroiłam niedojrzałego banana. Robiłam to co poranek, każdego dnia. Każdego dnia przed pracą starannie pakowałam kanapki w papierowe serwetki, płukałam jabłka, chowałam do torby razem z wysłużonym laptopem. Brałam prysznic, ubierałam się w wyprasowaną dzień wcześniej koszulę. Może i faktycznie z czasem stała się jakby luźniejsza, spódniczkę musiałam przytrzymywać paskiem, a któregoś tygodnia wybrać się do kaletnika, by dorobił w nim kolejne dziurki. Może i schudłam, ale tłumaczyłam to sobie nadmiernym stresem, pracą ponad siły. Tak samo usprawiedliwiałam poszarzałą twarz, cienie pod oczami. Uspokajałam samą siebie, że wystarczy odpoczynek, wystarczy wyjazd w góry, wystarczy odetchnąć świeżym powietrzem.

Nic nie zapowiadało, że siedząc przy biurku, poczuję ścisk między łopatkami, poczuję, jakby ktoś wbił mi rozgrzany pręt prosto w plecy, że nie będę potrafiła złapać tchu, zbladnę i ktoś, już nie pamiętam kto, poradzi, żebym poszła do łazienki i umyła twarz zimną wodą, ktoś inny poda mi szklankę, ktoś podbiegnie otworzyć okno. Wyszłam stamtąd, dotarłam na zdrętwiałych nogach do łazienki, gdzie oparłam głowę o chłodne kafle. Liczyłam oddechy, zanurzyłam twarz w wodzie, którą nabrałam w dłonie, lecz wcale nie czułam się lepiej. Niepokoiłam się coraz bardziej, próbowałam dosięgnąć do miejsca, z którego promieniował ból. Wiedziałam, że gdy tylko poproszę szefową, pozwoli mi pójść do domu, pozwoli, bym odpoczęła, nikt nie chce nieefektywnego pracownika, ale mimo to nakręcałam się, że taka niesubordynacja naruszy moją nienaganną opinię, na którą pracowałam tyle czasu. Szkoda, że dopiero po miesiącach uświadomiłam sobie, że na nic było mi stawianie na pierwszym miejscu kariery, skoro za chwilę miałam się rozsypać. Że nawet jeśli starałam się uciec od zmęczenia, to moje ciało zmusiło mnie do przystąpienia.

Wracam myślami do tamtego dnia, do tego, jak opuściłam łazienkę, obiecując sobie, że zapiszę się do lekarza, że tym razem nie zlekceważę tego

bólu, że pozwolę sobie na odpoczynek. Wręcz błagałam swoje ciało, by odpuściło, a ja się nim zaopiekuję. Wspominam, jak położyłam dłoń na metalowej poręczy, pozostawiając na niej krople potu. Jak stałam na schodku i chcąc podnieść nogę, by wdrapać się wyżej, straciłam czucie, straciłam równowagę, straciłam wszystko.

Gdy wertuję w myślach przeszłość, dostrzegam, że wszystko zapowiadało, że tamtego dnia miał nastąpić koniec świata. Ale jesteśmy ślepi, nie zauważamy najbardziej banalnych, najbardziej oczywistych znaków, tych, które nawet nie wymagają od nas większej refleksji, domagają się tylko uwagi. Nie chcemy ich widzieć, odwracamy wzrok, zrzucaamy odpowiedzialność na kogoś innego, przekładamy na później. Nie zauważamy, że kwiaty na drzewach zakwitają o wiele dni później, nie rodzą w lecie owoców, nie ma kto ich zapylić, nie zauważamy ginących pszczół, dymu nad pasiekami, bo gdy zachorują, to nieodwracalnie, nie ma możliwości, by je uratować. Nie zauważamy, że pory roku się mieszają, że zimą świeci słońce, a latem się chowa, nie zauważamy śnieżycy w marcu, upału jesienią. Wylanych rzek, trąb powietrznych, zerwanych dachów, złamanych gałęzi. Stodoły, która jeszcze godzinę temu stała na środku pola, a teraz jej deski walają się na asfalcie. Przebiegamy po nich wzrokiem, bezmyślnie, nie dopuszczamy do siebie myśli, że nadchodzi koniec.

*

Czasem w chorowaniu najtrudniejsze nie są niekończące się badania, eksperymentalne terapie czy też oczekiwanie na wyniki, na diagnozę, które wloką się w nieskończoność. Czasem najtrudniejsze bywa porządzenie sobie z tym, że znalazł się ktoś, kto odebrał nam prawo do cierpienia. Kto roześmiał się nam w twarz, gdy mdleliśmy z bólu. Kto od nas odszedł, gdy najbardziej go potrzebowaliśmy.

*

Nigdy nie wzgardzałam swoim ciałem, ale nigdy też nie czułam, żeby należało do mnie. Dopiero choroba sprawiła, że powstała między nami nierozewralna więź, ciało potrafi namalować na poszarzałej skórze każdą emocję, a każde ukłucie bólu odczytuję jako porażkę.

Boję się niepewności, która wbija się w moje ciało jak malutkie sztylety, ale boję się też wiedzy, która okazuje się gorsza, przynosi ze sobą tylko łyżę, na które nie mogę sobie pozwolić.

*

Jestem zmęczona cierpieniem w ciszy, jestem zmęczona udawaniem wśród tłumu, że wszystko ze mną w porządku.

*

Zabronili mi trwania w bezruchu, co jest dla mnie katogą, bo potrafię skupiać się na pracy do tego stopnia, że dopiero gdy ktoś mnie zawoła, zdaję sobie sprawę z tego, że nie zmieniałam pozycji, nie poszłam do łazienki czy nie zrobiłam sobie kawy. Ale zabronili, bo nie są pewni, na co choruję, stawiają tylko hipotezy, trzymając się jednej z nich. A jeśli to ona, to nie są też pewni, w którym stadium jestem ani kiedy pojawią się pierwsze oznaki osiągnięcia kolejnego poziomu choroby. Pozwalam, by mnie przestraszyli, wsłuchuję się w ich prorocze tony i dociera do mnie, że któregoś dnia mogę potrzebować pomocy, by zejść z łóżka, mogę już nigdy więcej nie prowadzić samochodu, bo zeszytnięją mi kręgi szyjne i utknę z głową w jednej pozycji. Boję się tego dnia, dlatego przed snem piję herbatę zrobioną z dwóch saszetek pokrzywy, duszkiem wypijam szklankę wody i nalewam kolejną, dzięki czemu budzę się w środku nocy i drepczę do łazienki, potykając się o zdrętwiałe stopy. Łapię się kaloryfera, siadając na desce klozetowej i walcząc z przerwany snem domagającym się mojej uwagi, rozmasowuję kolana. Nim się położę, biorę łyk wody i schylam się, podnosząc wyimaginowany przedmiot. Zmniejszyłam ryzyko, mogę odetchnąć z ulgą, chociaż boli mnie oddychanie. Za kilka godzin znów się budzę i powtarzam cały cykl. W ciągu dnia kładę się na niewygodnej kanapie w salonie albo na wiszącym fotelu na tarasie, byleby tylko nie było mi wygodnie, byleby nie obudziła się po półgodzinie, na więcej nie mogę sobie pozwolić.

Przeżytkam panikę razem z porcją frytek, gdy siedząc przy stole, zauważam, że mam sprawne tylko dwa palce dłoni, wskazujący i kciuk, na których znajdują się drobinki soli. Reszta, chwilowo nieużywana, zdążyła zeszytnieć. Wstaję, mamrocząc, że muszę umyć ręce i szoruję je tak długo pod zimną wodą, aż odzyskam sprawność.

Biorę silne leki, podtrzymują mnie również antydepresanty, bez których już dawno rzuciłabym się z rozpacz pod koła samochodu. Ale ich mieszan-ka bywa druzgocząca, przesypiam kilkanaście godzin w ciągu dnia, przez resztę walczę z nadciągającym snem, półprzytomnym umysłem, który nie pozwala na wymagające uwagi i skupienia zajęcia. Wegetuję.

*

Płaczę nad talerzem pełnym jedzenia, nie jestem w stanie przełknąć ani kęsa i nie jestem w stanie już dłużej ukrywać łez. Kapią do kubka pełnego herbaty. Wpatruję się we wzburzoną taflę, nim oczy zajdą mi mgłą. Czuję frustrację, bo nie potrafię sobie pomóc i czuję ją też, bo unosi się w naszym mieszkaniu i przenika nas, każdą naszą myśl. Marzę o powrocie do normalności, ale wiem, że dawna normalność nigdy nie powróci, wiem, że będę zmuszona do stworzenia nowej, do przyzwyczajania się, a może i któregoś dnia do zaakceptowania, choć wątpię w to, że kiedykolwiek nadejdzie taki moment. Czuję też ból, dzisiaj daje o sobie znać o wiele bardziej i o wiele częściej niż w ostatnie dni, podjudza go zdenerwowanie przed tym, co mnie czeka, gdy jutro otworzę oczy.

*

Leżę w wannie, dostrzegając, że dopiero od niedawna pozwalałam sobie na wolny wieczór, na odpoczynek, który niegdyś tak często zaniedbywałam, gdy uważałam, że to praca jest miarą mojej wartości. Dalej tkwi we mnie to przekonanie, ale jest trochę cichsze, częściej nakazuje mi się porównywać z innymi, niż biczować, by osiągnąć lepsze efekty. Leżę w wannie i zapominam o bólu, który mnie wręcz błagał, bym pozwoliła mu się ogrzać, bym zabiła to zimno, które na mnie zsyła. Pot spływa po moim czole, słyszę dudnienie mojego rozszalałego serca, ale tkwię w bezruchu, rozkoszuję się tą chwilą, bo w końcu udało mi sprawić, że moje ciężkie, zmęczone ciało wydaje się lekkie, unoszone przez wodę. Panicznie boję się zanurzenia, ale pragnienie, by choć przez moment nie czuć nic, wygrywa z lękiem i zatykam nos, powoli osuwając się w głębię.

*

W niektóre dni ból jest tak mocny, że mam ochotę rozbić szklanę o ścianę pokoju, lecz wymaga to siły, której już nie mam.

*

Może to wina leków. Nie jestem pewna, jak to działa, ale może właśnie te małe, żółte tabletki zamiast rozpuszczać się w moim żołądku, rozpuszczają się w głowie. Może nie docierają do stawów, do kości. Może się pogubiły. Może nie wiedzą, co trzeba leczyć. Może to moja głowa wymaga poprawy. Może stamtąd pochodzi ból. Może właśnie tam to się zaczęło. Może jestem zepsuta w inny sposób.

Do teraz nie wiedziałam, co to znaczy zimno. Moje ciało, wiecznie rozgorączkowane, nie знаło zimna. A teraz siedzę zwinięta w kłębek na dywanie i nie wiem, jak wrócić do normalności. W ustach czuję posmak leków. Na ciele kwitną mi siniaki. Leki przejmują nade mną kontrolę.

*

Czuję się zbyt nierealnie. Czuję swoje ciało dopiero wtedy, gdy zwracam uwagę na jego poszczególne części. Potrafię leżeć pod grubym kocem i nie czuć zimna. Dopiero gdy skupiam się na dłoniach, dociera do mnie, że są lodowate. Gdy dotykam rozgrzanego telefonu, odczuwam różnicę temperatur.

Jestem słaba. Serce wali mi w piersi, ale staję się głucha na te odgłosy. Nie czuję ciężaru ubrań. Dotykając stopami ziemi, odnoszę wrażenie, że unoszę się kilka centymetrów nad nią. Jak gdybym pokonała siły grawitacji.

Jestem senna. Wystarczy, że opieram głowę czy to o blat stołu, czy miękką poduszkę, a mój oddech zwalnia, oczy przymykają się mimowolnie. Trochę słaniam się między pokojami, trochę martwię, że opadnę z sił, że zderzę się ze ścianą, że zrobię sobie krzywdę. Ale przede wszystkim czuję się szczęśliwa. To te kilkugodzinne przerwy od bólu, to te dni, w których zapominam, że choruję, zapominam, jak niewiele mi brakuje, by odejść.

*

„Czemu użalas się nad czymś, na co nie masz żadnego wpływu?”

Siedzę przy biurku, kartkuję dokumenty od lekarzy, odhaczam kolejne zadania w kalendarzu i coś mnie gryzie. Coś podgryza moje kostki, szarpie za nogawkę. Nie patrzę, nie odrywam wzroku od chaosu na blacie. Odsuwam delikatnie nogę. Znika.

Nazajutrz czuję drapanie. Ignoruję. Kolejny dzień zostawia na moich nogach czerwone ślady. Nie zwracam na to uwagi. W piątkowy wieczór ciężar rozsiada się wygodnie na moich kolanach. Zrzucam go. To naprawdę nic takiego.

*

Czasem się boję dnia, w którym już nie będę potrafiła wyciągnąć ręki po tabletki, wyjąć ich z opakowania i podnieść na wysokość ust.

Mojej choroby nie widać. Tylko wprawne oko zauważy, że w niektóre dni częściej rozmasowuję nadgarstek, że co godzinę wstaję i powoli spaceruję. Ale zazwyczaj nikt tego nie dostrzega. Lekkiego zgarbienia, podtrzymywania kubka lewą dłonią, niewyraźnych podpisów.

To, że choroba siedzi głęboko we mnie, zagnieździła się tam, gdzie nikt jej nie dostrzeże, dopóki jej wyraźnie nie zarysuję, jest jednym z powodów, przez które nazywają mnie oszustką.

*

Przejmujący ból, który nie daje zasnąć, który zmusza do wstania z łóżka, przejścia zimnym korytarzem do kuchni, błędzenia po omacku, bo jest zbyt późno, a noc jest zbyt piękna, by bezcześcić ją sztucznym światłem, który zmusza do wyjęcia z szafki lekarstw, powolnego podniesienia ręki, której już nie da się podnieść, manewrów, by sprawić jej jak najmniej bólu przy nalewaniu wody. Jej, bo w noc taką jak ta odczuwam przemożną ochotę odcięcia się od swojego ciała, potraktowania go jak zmęczone dziecko, które nie może zasnąć i marudzi, śliniąc się i gaworząc.

Wracam tą samą trasą do łóżka, kładę się i czekam, aż nadejdzie chwila spokoju, aż omamią mnie dawki leków, które już dawno powinny mnie unicestwić, czekam, a ona nie nadchodzi, nadchodzi tylko jedna pojedyncza łaza, bo jestem już tak bardzo, tak strasznie zmęczona.

*

Godziny, minuty, minuty, godziny, sekundy, noce, dni, północ, wczesny ranek. Zaraz będzie po, zaraz to minie, zaraz znów nauczę się oddychać. To tylko kolejny moment, o którym czym prędzej zapomnę, który moja pamięć skutecznie wymaże, nic nieznacząca chwila. I będzie tak, jakby nigdy nic się nie stało, jakby nie było tej chwili. Jakby nie było tego bólu. Ale ciało zapamięta, ciało sobie przypomni, kto je zranił, co je zraniło, kto zadał ostateczny cios. I weźmie odwet, odwdzięczy się, przyniesie pudełko przypominające prezent, a które okaże się być pułapką. Zniszczy mnie, znowu mnie zniszczy.

*

Nie potrafię wybaczyć sobie, gdy brak mi sił na przygotowanie obiadu, gdy drżąca ręka niezgrabnie łapie mokre sztućce, tłucze szklanki, wysypuje o kilkadziesiąt gram za dużo mąki do ciasta, a ono twardnieje, smakuje drożdżami, nie da się go przełknąć. Nie panuję nad sobą, tracę kontrolę.

*

– Muszę odejść – mówi, gdy z trudnością otwieram oczy i odwracam się twarzą do niego, by podzielić się kolejną obawą, kolejnym koszmarnym snem. Ale milknę, gdy dostrzegam wojnę rozgrywającą się na jego twarzy. Zastanawiam się, co mi powie, obstawiam, że w najgorszym przypadku będą to kolejne odsetki, kolejne niezapłacone raty, tak bardzo się tym przejmuję, odkąd zrezygnowałam z pracy i większość naszych pieniędzy przeznaczamy na leczenie.

– Gdzie? – odpowiadam bezmyślnie, ale jestem w szoku, nie tego się spodziewałam, nawet przez chwilę nie obawiałam się, że kiedykolwiek mnie porzuci. Tak bardzo się kochamy, tak wiele planów snuliśmy jeszcze wczoraj wieczorem. Gdy zasypiałam, byłam o jego obecność spokojna, szczególnie

w tym czasie, czasie niepewności, kiedy to nawet nie wiem, czemu z dnia na dzień opadam z sił. Wczoraj mogłabym powiedzieć, że wiem, że mnie złapie, gdy zasłabnę. A nie, że złamie mi serce.

– Nie wiem, po prostu uznałem, że musimy się rozstać.

– Teraz? Chcesz mnie zostawić w takim momencie? W momencie, w którym się rozpadam?

– Wiem, to, co robię, jest okropne, ale zrozum, nie potrafię inaczej.

– Nie chcę tego słuchać. – Z całą stanowczością, na jaką potrafię się zdobyć, przerywam mu. Nawet na niego nie patrzę, wstaję powoli z łóżka, wsuwam stopy w kapcie ułożone równo z miękkim dywanikiem, zdejmuję ze stojącego nieopodal krzesła szlafrok i ciasno się nim owijuję. Drżę z zimna, drżę z przejęcia.

– Właśnie taka jesteś – odcina się. Podchodzę do lustra i obserwuję odbicie jego ruchów. Przeczesuje dłonią włosy, z frustracji, wzdycha głośno, dalej leżąc w łóżku, w naszym łóżku, które kupiliśmy całkiem niedawno. W łóżku, które za chwilę miało stać się tylko moje. Albo tylko jego. – Nie słuchasz tego, co chciałbym ci powiedzieć. Zmieniłaś się, od diagnozy bardzo się zmieniłaś, a ja nie chcę tak żyć, nie ślubowałem miłości chorobie, tylko mojej pięknej, zabawnej narzeczonej, z którą łączyło mnie tak wiele. Teraz są tylko badania, wyniki, leki, kontrole, kolejki, telefony, poczekalnie.

– Chcesz odejść, bo zmieniłam się, gdy usłyszałam, że być może to coś, co we mnie siedzi, mnie zabije? Chcesz odejść, bo staram się, jak mogę, by wrócić do normalności, by poczuć się lepiej?

– Nie. Chcę odejść, bo zatraciłaś się w swojej chorobie. Tylko ona się liczy, przejęła kontrolę nad twoim życiem. Nie spotkamy się ze znajomymi, bo jestem taka zmęczona. Nie rezerwuj tego wyjazdu, bo mam wtedy rezonans. Chyba można chorować i mimo to normalnie żyć? – Odwracam się gwałtownie. Nie poznaję go, to nie jest mój mąż, to nie jest ten sam człowiek, który miesiąc temu siedział na plastikowym krześle obok mnie, wdychał chemiczny zapach, ścisnął moją rękę, chcąc dodać mi otuchy.

– Spróbuj. Spróbuj chorować i jednocześnie normalnie żyć, spróbuj żyć tak, jak kiedyś, kiedy na biurku piętrzą ci się kolejne zalecenia, kolejne pomysły, kolejne nietrafione diagnozy. Gdy budzisz się z myślą, że któregoś dnia staniesz się dla wszystkich wokół ciężarem. Spróbuj – odparowuję,

wychodząc z sypialni. Z całych sił trzaskam drzwiami, chciałabym jeszcze krzyknąć, wykrzyczeć to, jak ogromny ból mi zadał. Czuję ukłucie przy sercu, rozmasowuję ramię, które boli coraz bardziej i obudziło mnie dzisiaj nad ranem, gdy słońce ledwo wstało i oświetlało nasze śpiące ciała.

Czy to, że jestem chora, oznacza, że nie da się mnie kochać?

*

Uczucie, które mi dzisiaj towarzyszy, jest podobne do tego, gdy szłam dobrze znaną mi ulicą, już nie pamiętam dokąd, nie pamiętam, co mnie zmusiło do opuszczenia bezpiecznego domu. Bo właśnie tamten dzień zasługiwał na głośne alerty wypowiedane przez telewizyjnych prezenterów, może bym je usłyszała, gdybyśmy mieli telewizor, ale posiadaliśmy tylko radio, które stało na kuchennym parapecie i potrzebowało kilku chwil, by przekazać wiadomości, a nie tylko trzaski i chrzęsty. Tamtego dnia nie działało, a ja najwyraźniej musiałam wyjść, więc otuliłam się szczelnie szalem, w którym schowałam twarz, i wyszłam wprost do wichury, wichury, która zgarniała wszystko, co stało jej na drodze, która tworzyła piaskowe zawieje, tak że nie widziałam domów sąsiadów, nie widziałam też świecących lamp, tylko pył. Pamiętam, jakby to było wczoraj, nie potrafiłam oddychać, nie potrafiłam nabrać powietrza do płuc, więc cofnęłam się do korytarza i wzięłam haust, który nie mógł mi wystarczyć na dojście do miejsca, którego nie pamiętałam, ale byłam zawzięta i nie myślałam trzeźwo. Kolejny oddech, który wymusiło na mnie ciało, dostarczył zbyt ogromnej dawki powietrza, zakrztusiłam się, kaszlałam w szalik, ale nie cofnęłam się, nie pamiętam już czemu. Starłam się oddychać co dziesięć kroków, skupiałam się na liczeniu, trochę ciemniało mi w oczach, byłam zmęczona.

Dzisiaj czuję się podobnie. Znów boli mnie serce i znów nie starcza mi sił na nic więcej poza płytkim oddechem.

*

Muszę uciec od ludzi. Odciąć się od nich, ograniczyć kontakt. Nie odzywać się, nie rozmawiać, nie robić nic, by mnie dostrzegli. Jestem zmęczona wieczną irytacją, jestem zmęczona cudzymi problemami i czuję, że jeszcze jedno słowo, jedno zdanie o cudzym kłopotcie i wybuchnę. Upadnę, ugrzęznę w bezmiarze smutku. Najpierw zaczęły mnie denerwować drobnostki

będące końcem świata. Rozmawiałam z ludźmi, którzy nie mogli wyjechać na wakacje. Nie mogli kupić kolejnej niepotrzebnej rzeczy. Nie mogli dogadać się z narzeczonym, kto w tym tygodniu wynosi śmieci. Nie wyrobili się z terminami projektów. Nie potrafili zadzwonić do lekarza. Musiałam oddychać głęboko, odsuwać z całych sił myśli, że to żaden problem, żaden kłopot, żadne zmartwienie, że obok nich stoi osoba, która się rozpada, która czuje oddech choroby na szyi. Osoba, która doznała odrzucenia, osoba nierozumiana, osoba, której nikt się nie zapyta, jak tak naprawdę się czuje. Zaciskałam zęby, by nie wykrzyknąć, że nie obchodzi mnie, że nie potrafią rozplanować wydatków. Czuję złość, że każdy przychodzi do mnie jak do konfesjonału, wypływa z siebie monolog o tym, jaki ten świat jest niesprawiedliwy, duka formułkę, że rozumie moje rady i na pewno się do nich zastosuje, po czym za tydzień zjawia się z tym samym, oczekując innego rozwiązania. I czuję też wstyd, że bagatelizuję czyjeś zmartwienia, że nie jestem wyrozumiała, chociaż całkiem niedawno tak bardzo się tym szczyciłam.

Więc jest złość i jest też wstyd. Ale jest też zazdrość. Z zazdrością wypisaną na twarzy odczytuję kolejne wiadomości przepełnione chęcią zwrócenia na siebie uwagi. Siedzę na skraju łóżka i płaczę, bo nade wszystko chciałabym mieć z kim pokłócić się o nieposprzątane mieszkanie. Bo pragnę przeglądając oferty wycieczek za granicę, a nie ważyć w rękach oszczędności, tak by mieć za co kupić leki. Bo chciałabym, by był obok mnie ktoś, kto mimo zmęczenia, mimo frustracji wysłucha. Ktoś, kto nie rzuci pierwszą lepszą radą, tylko przemyśli moje słowa. Kto zrozumie, kto pozwoli mi mówić, a nie tylko poklepie po ramieniu, gdy otworzę kolejny list z odrzuceniem mojej kandydatury na miejsce pracy z krótką notką, że nie są w stanie zapewnić osobie niepełnosprawnej odpowiednich warunków.

I jest też lęk. Boję się, że nie zapanuję nad swoimi emocjami, że któregoś dnia mnie to przerośnie i powiem o jedno słowo za dużo. Wiem, jak łatwo jest złamać drugą osobę.

Dlatego uciekam. Dlatego wolę milczeć.

*

Najbardziej przerażające i tak było czekanie. Jest czekanie. Kiedy wiesz, że coś może się zdarzyć, ale nie masz pojęcia, kiedy dokładnie to nastąpi. Czy pojutrze, czy za rok, a może nigdy, bo przecież tak też się zdarza, o takich

cudach też się słyszy, krzyczą o nich nagłówki gazet. Krzyczą, a jednocześnie szepczą o porażkach, o nieudanych próbach, o tym wszystkim, kiedy to zawiodł człowiek. Gdy następuje cud, nikt nie przypisuje sobie zasług. Nikt nie poklepie osoby, która nosi w sobie załączek choroby, że tak dobrze o sobie dbała, że prowadziła taki zdrowy styl życia, że stanęła na głowie, byleby tylko nie podjudzać ognia. Nikt nie poklepie grona lekarzy, którzy dyskutowali zawzięcie o tym właśnie przypadku, którzy dyskutowali w eleganckich gabinetach, siedząc przy drewnianym stole, jak i przy stole operacyjnym, pochylając się nad rozciętym ciałem, nad wnętrznościami, które dojrzały światła lamp. O tym się nie mówi, nie mówi się o wspólnej walce. Cud, niezależny od nas cud, siła wyższa, matka natura. Taka uroda. Dobre geny.

Za porażkę obwiniamy każdego, nawet jeśli nikt nie miał na nią wpływu.

Boję się dnia, w którym znowu mnie oskarżą, że doprowadziłam swoje ciało do ruiny. Znowu mnie wytkną palcami, że w ogóle się nie starałam, że pozwalałam sobie na odstępstwa, a jedno odstępstwo prowadziło do kolejnego i nikt mną w porę nie potrząsnął, żebym zrozumiała, że sama siebie zabijam. Boję się dnia, w którym cicho zaprotestuję, że chciałam tylko żyć, chciałam tylko wybiec z domu i biec przed siebie i nie zatrzymywać się, chciałam tylko poczuć, jak to jest nie martwić się o każdy kęs, nie przypatrywać mu się z uwagą, aż wyschnie, aż się ochłodzi, aż straci smak. Zaprotestuję, powiem, że inaczej byłabym zwariowała, inaczej z pozoru zdrowy nawyk stałby się obsesją, stałby się natręctwem, nad którym straciłabym kontrolę. Straciłabym siebie.

Nie mam co liczyć na cud i doskonale o tym wiem. Uśmiecham się ostrożnie, gdy ktoś pochyla się nade mną i gratuluje trzymania swojej choroby w ryzach. Zgadzam się z nim, potakuję, przyznaję otwarcie do restrykcji, które sama na siebie nałożyłam, przyjmuję gratulacje, ale to wszystko jest pozorne, nic nie jest prawdziwe. Prawdą jest, że drżę z obawy, gdy raniem ciężiej mi się oddycha, bacznie obserwuję swoje ciało, przyglądam mu się godzinami przed lustrem, przesuwam chłodnymi dłońmi po każdej kostce. Naciągam skórę pod oczami, zerkam, czy jest krwistoczerwona, czy dzisiaj zbladła, codziennie fotografuję moje dłonie, wydrukowuję obraz, wklejam do zeszytu, dociskając, by klej złapał, wpisuję datę, wpisuję też, jak się czuję. To szaleństwo, ale cóż innego mi pozostało, gdy teraz już jestem samotna, tak przeraźliwie samotna, zostało mi tylko ciało, przez które wszystko straciłam.

*

Krzyżuję nogi w kostkach i strzepuję niewidzialny pyłek z beżowych spodni, które dzisiaj rano w pośpiechu włożyłam. Opieram się o blat szafki, jedną dłoń kładę na biodrze, drugą odgarniam przydługą grzywkę z oczu. Gotuję zupę, chcę w ten sposób udowodnić sobie, że potrafię, że nie przerośnie mnie taka zwyczajna rzecz, która i tak już wymagała ode mnie szeregu czynności przekraczających moje możliwości, czynności, w które musiałam włożyć zbyt wiele wysiłku. Chcę pokazać mu, że staram się dalej żyć. Że mimo wszystko próbuję. Że warto przy mnie zostać, warto poczekać, aż wszystko się ułoży.

Nie rozmawiamy od kilku dni. Żyjemy obok siebie, mijamy się bez słów. Tego ranka nawet nie zaszczycza mnie spojrzeniem, zrozumiałam, że to ostatni moment, by wpłynąć na jego decyzję. Leżę przykryta kołdrą pod samą brodę, obudziłam się z palącym bólem szczęki. Chciałabym przeleżeć w tym miejscu resztę dnia i kolejną noc, ale jestem pewna, że jeśli po powrocie zostanie mnie w łóżku, utwierdzi się w przekonaniu, że nie jestem warta ani jednej kolejnej minuty jego życia. Muszę coś zrobić, cokolwiek, muszę go zatrzymać. Wstaję, unikając patrzenia w lustro, w którym dostrzegłabym opuchniętą twarz, cienie pod oczami i siniaki po wkluciacach. Ciało zmęczone badaniami, ciało zmęczone ciągłą uwagą, ciągłym odsłanianiem się, słowami pełnymi wyrzutów. Zgarniam ze stosu świeżo wypranych ubrań bluzę, w której mogę się schować, którą mogę się owinąć kilka razy, zniechęcając tym cudze spojrzenia. Sięgam po pudełko z lekami, wysypuję poranną porcję na dłoń i wkładam do ust, mieląc ją językiem, krzywiąc się od gorzkiego posmaku. Kiedyś się przyzwyczaisz, powtarzali, kiedyś nie będziesz o nich myśleć, kiedyś stanie się to twoim zwyczajem, musi się nim stać.

– Zrobiłam obiad – odzywam się, gdy słyszę szcęk kluczy. Wchodzi do domu i mija mnie, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa. Idę za nim do łazienki, wślizguję się, nim zdąży zamknąć drzwi na klucz. – Zjemy razem? – Wzdycha, dalej unikając mojego wzroku.

– Zjem później.

– Nie. – Stoję w progu, uniemożliwiając mu wyjście. – Zjemy teraz, porozmawiamy o tym, jak nam minął dzień, i będzie jakby nigdy nic, jakbyśmy się nie rozpadali, coraz bardziej oddalając od siebie.

– Już ci mówiłem, że to nie ma sensu. Jeden obiad nic między nami nie zmieni, nie jestem w stanie żyć z tobą, wspierać cię.

– Przrzekałeś coś innego – odparowuję, chwytając się przysięgi, którą wypowiedział kilka lat temu przed ołtarzem. – W zdrowiu i w chorobie, pamiętasz jeszcze?

– Nie zapomniałem. Ale gdyby takie obietnice były składane na zawsze, to nie istniałyby rozwody, prawda?

– Czy jeden obiad będzie dla ciebie tak ogromną tragedią? – Zmieniam ton, zmieniam temat, nie chcę, by zauważył, jak bardzo zranił mnie tą uwagą. Nie sądziłam, że to słowo kiedykolwiek padnie z naszych ust, myślałam, że nie dotyczą nas kłótnie, rozstania. Mierzymy się wzrokiem, nie zamierzam odpuścić, mogę zrobić dla niego tak wiele, byleby tylko pozostał przy mnie.

– Niech ci będzie. – Ulga, którą odczuwam, przygniata mnie swoim ciężarem, opieram się o umywalkę, tłumię syk, gdy uderzam biodrem o porcelanowy kant. Patrzy na mnie z uwagą, przez sekundę na jego twarzy maluje się współczucie, jakby dopiero teraz zrozumiał, z czym się mierzę. Ale wrażenie szybko znika, reflektuje się. Wychodzę bez słowa z łazienki, tłamsząc nadzieję, którą rozpałił tym jednym spojrzeniem.

Jemy w milczeniu, przypatruję się znad talerza, jak ostrożnie odkrawa kurczaka. Układałam w głowie scenariusz, który mogłabym teraz odtworzyć, ale mur, który wznosił między nami, trochę mnie onieśmiela, nigdy o nic go nie błagałam, a wiem, że mogłabym w tym momencie uderzyć właśnie w taki ton. Czekam na jakąkolwiek reakcję z jego strony, ale tylko wyciera usta serwetką i powoli podnosi się z krzesła. Kładę dłoń na jego rękę, zmuszając go do bezruchu.

– Mam jeszcze deser. I wino.

– Myślałem, że nie można łączyć alkoholu z lekami. – Mówiąc, nie patrzy na mnie. Ignoruję te słowa.

– Zostań. Staram się rozumieć, że możesz się czuć zaniedbany, może cię przytłaczać wizja przeszłości spędzonej z osobą, która w każdej chwili może wymagać od ciebie stuprocentowej uwagi, która może być uzależniona od twojej pomocy, ale wcale nie musi tak być. Proszę, tylko mnie nie opuszczaj.

– Chcesz, bym został, bo mnie kochasz, czy po prostu potrzebujesz opiekuna? – Milczę, rzucam widelcem o talerz i przez chwilę to jedyny dźwięk, który jest w stanie przerwać złowrogą ciszę. – Straciłem apetyt.

Nie zatrzymuję go. Wsłuchuję się w jego ciężkie kroki, wsłuchuję w odgłos drzwi, które zatrzaskuje, wychodząc z domu, wychodząc z mojego życia.

*

Usłyszałam, że nie powinnam się tak stresować, że stres tylko utrudni leczenie, opóźni nadejście pierwszych efektów, tej wiekopomnej chwili, zapytałam więc, jak mam się nie przejmować, gdy właśnie odchodzi ode mnie ktoś, kogo kocham.

*

Ostatnio nadludzkim wysiłkiem staję się kąpiel w wannie. Moje coraz słabsze ciało o poranku potrzebuje dodatkowej godziny, bo nie jestem w stanie nalać wody, podnieść słuchawki, umyć zębów, zaparzyć kawy, nie mówiąc już o przekrojeniu chleba, dopóki moje zdrętwiałe dłonie nie obudzą się do życia.

Boję się myśleć o tym, co będzie za miesiąc. Za rok. Już teraz nie jestem w stanie dłużej udawać, że potrafię funkcjonować jak zdrowy człowiek. Ale nie mam kogo poprosić o przyrządzenie mi śniadania, o przygotowanie kąpeli.

Dlatego wstaję dwie godziny wcześniej, myję tylko twarz i modłę się o wyzdrowienie albo ciche odejście. O których z cudów.

*

Jest coś uspokajającego w rytmicznym zanurzaniu dłoni w miękką sierść kota. Przychodzi do mnie, gdy tylko ronię pierwszą łzę, zawsze to robi i zaczyna zawodzić razem ze mną, szturchając zimnym nosem o mój słony od łez policzek. Chce zabrać ode mnie cały ten ból, jestem tego pewna. Układa się na moich skrzyżowanych nogach zaraz po tym, jak nabieram powietrza w płuca tuż przed kolejną falą płaczu. Podejmuję decyzję, by spakować

całe swoje życie w kilka walizek i wrócić do rodzinnego domu, nie mogę tutaj zostać i patrzeć, jak odchodzi ode mnie, chcę jeszcze przez chwilę nie wierzyć w to, że nasze rozstanie nieuchronnie się zbliża.

Koniec wersji demonstracyjnej